

Z dziejów reportażu sądowego (5)

Stanisław Milewski

RZECZ W RĘCE BIORĄ FACHOWCY

W 1873 roku zaczęła wychodzić „Gazeta Sądowa Warszawska”, organ prawników, przeważnie wykładowców dawnej Szkoły Głównej; niektórzy z nich podjęli pracę w zrusyfikowanym Uniwersytecie. Wśród założycieli wielu też było miejscowych adwokatów, liczni z nich zresztą poświęcali się nauce prawa, a nie tylko bronili w sądach¹. Od razu w pierwszym numerze redakcja zapowiedziała, że zajmować się będzie sprawami karnymi, poświęcając ich omówieniom stałą rubrykę pt. „Kronika kryminalna”. Uczyła to piórem trzydziestodwulatka (1841–1909), Wiktora Piątkowskiego (Wik. Piąt.), ówczesnie sekretarza prokuratora Sądu Kryminalnego, potem podprokuratora w tym sądzie, wreszcie – od 1888 roku – adwokata. Gdy wszedł w skład redakcji GSW, miał już za sobą współpracę z „Przeglądem Sądowym”. Opublikował tam m.in. artykuł *O czci obywatelskiej i jej utracie* (1869).

Inicjator „Kroniki kryminalnej” w GSW studia prawnicze ukończył w Szkole Głównej Warszawskiej, a uzupełniał je wiedzą z zakresu sądownictwa, filozofii, dziennikarstwa i sztuk pięknych na uczelniach Niemiec, Francji, Belgii i Austrii. Był więc jurystą świetnie wykształconym, a także człowiekiem wszechstronnym. Pisywał bowiem recenzje muzyczne do wielu pism warszawskich, a także do berlińskiego „Charivari”. W naszej stolicy był dyrektorem Szkoły Muzycznej, a także jej wykładowcą².

„Rozpoczynając kronikę kryminalną – napisał we wstępie do *Sprawy trzech małoletnich, obwinionych o rabunek*³ – wypada mi, na czele, wypowiedzieć o niej słów kilka (...). W sądach panuje jawność. Interesowani i całe społeczeństwo pragną wiedzieć bezzwłocznie, co się dzieje w sprawach powierzanych sędziom (...) Jawność ma wielką doniosłość. Otacza Sąd powagą oraz pobudza go do umiejętności i gorliwości – toteż

¹ Szerzej o powstaniu i programie tego tygodnika: S. Milewski, „Gazeta Sądowa Warszawska”, „Palestra” 2007, nr 1–2, a także S. Milewski, A. Redzik, *Themis i Pheme. Historia czasopiśmiennictwa prawniczego do 1939 roku*, Warszawa: Iskry 2011, s. 143–147 i 209–224.

² J. Grodzki (R. Łyczywek), *Piątkowski Wiktor*, „Słownik Biograficzny Adwokatów Polskich”, t. I, s. 326, a także: W. Kaszubina, *Piątkowski Wiktor*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. XXVI, s. 21–22.

³ GSW 1873, nr 1.

daje rękojmię bezstronności. Dopuszczając niejako publiczność do wspólnego sądenia, poucza ją zarazem, jak wykrzyć prawdę i oceniać sprawiedliwie, by potępić winę złego, a uszanować niewinność dobrego, tym zaś sposobem umoralnia przekonania obyczajowe i prawne”.

„Zarzuty przeciw jawności – ciągnął rzecz dalej, jakby uprzedzając dyskusje, które wybuchnąć miały na dobre dopiero za kilka lat – nie wytrzymują krytyki. Błędem jest twierdzić, że ona gorszy. Czyż prawda i sprawiedliwość są niebezpieczne? Czyż spalić książki dlatego, że dzieci czytać je mogą? Błędem jest tylko szukać w jawności sądowej strawy dla pospolitej ciekawości i podniety dla wyobraźni”.

„«Gazeta Sądowa» – kreślił program dla rubryki «Sprawy kryminalne» – musi siać ziarna zdrowe. Winna przedstawiać rzeczywiste obrazy wszelkich ważniejszych wypadków złej strony życia społecznego, ściśle według tego, co zdołano odtworzyć w przewodzie sądowym, śledztwie i wyrokiem (*sic!*), z mocy prawa. Sądzę, że bez zaciemniania obrazów i bez ubliżenia działalności sądów można bądź poprzedzać, bądź zakończyć sprawozdania, uwagami ułatwiającymi publiczności badanie natury rzeczy i wyprowadzanie wniosków żywotnych, jak to czyni fizjolog-filozof”. A więc zadanie ambitne: uczenie przepisów prawa karnego i pokazywanie, że łamanie ich nikomu nie wychodzi na dobre.

Na początek podprokurator Wiktor Piątkowski wziął na swój warsztat sprawozdawcy sądowego sprawę na pierwszy rzut oka dość banalną, ale z której wyciągnął bardzo ważne społecznie wnioski. Sąd Kryminalny rozpatrywał właśnie kazus trzech nieletnich terminatorów szewskich: najstarszy miał 16, a najmłodszy 11 lat. Oskarżeni zostali o rabunek, a więc zbrodnię zagrożoną przez Kodeks kar głównych i poprawczych karą główną pozbawienia wszelkich praw i zesłania na osiedlenie w Syberii.

Karygodnego czynu dopuścili się przed kilku miesiącami na ulicy Leszno, blisko okopów miasta, tuż po 10.00 wieczorem. „Policja – relacjonował Piątkowski – usłyszała krzyk nagły i przeraźliwy, natychmiast też dała sobie sygnały piszczałkami i nadbiegła. Kobieta stara i pijana poczęła się użalać, iż uciekający od niej w tejże chwili trzech chłopcy zaczepili ją, podarli odzienie. A wysypawszy na ziemię pieniądze, jakie miała w fartuchu i na piersiach, zabrali, co zdołali. Puszczono się w pogoń za chłopcami i zaraz ich dognano. W cyrkule, przy rewizji, znaleziono przy nich 72 kopiejki”.

Ostatecznie przed sądem zarzut rabunku nie utrzymał się, bo uszkodzona – zdając sobie chyba sprawę z konsekwencji, jakie to będzie miało dla oskarżonych – zmieniła pierwotne zeznania i wyszło na to, że chłopcy pozbierali tylko pieniądze, które jej wypadły, a następnie z nimi uciekli. Obrońca z urzędu też to mocno podkreślał, dodając, że kobieta, nie tylko stara, ale i pijana, nie zasługuje w pełni na wiarę. Zmieniła zresztą zeznania i w tej sytuacji ich czyn można uznać tylko za kradzież bez okoliczności obciążających, za który ponieść powinni karę z ustawy gminnej, czyli areszt do dni siedmiu; karę tę odbyli zresztą w Domu Badań.

Prokurator królewski wprowadzie mocno akcentował nagminność zuchwałych kradzieży w Warszawie, a także to, że w mieście grasują złodziejskie szajki; policja nawet zbiera fotografie ich członków do specjalnych albumów⁴. Podkreślił nadto, że „był to

⁴ Trudno dopatrzeć się związku tego akurat albumu z niniejszą sprawą, ale dzięki temu, że wspomniał o nim prokurator królewski, dowiedzieć się można, iż policja warszawska dysponowała już wtedy – i to może

rozmyśl w wysokim stopniu, posługujący się znową, nocą, pustkowiem, starością i pi-jaństwem, a to obciąża kradzież podobnie, jak ją np. obciąża okoliczność, kiedy złodziej ścigany odpędza i bije uszkodzowanego. Nie widać zamiaru rabunku we właściwym znaczeniu i czyn powyższy znamion tego przestępstwa na sobie nie nosi”.

Przyjmując to założenie, prokurator wnioskował, by sąd skazał chłopców za kradzież z okolicznościami obciążającymi: „dwóch starszych nad lat 14 na zamknięcie w domu roboczym po miesiący trzy, a trzeciego, młodszego od lat 14, na zamknięcie w domu poprawy przez miesiący dwa, z poczytaniem wszakże tych kar na wycierpiane w Domu Badań, wszystkich bez utraty praw i jedynie dwóch starszych z 2-letnim dozorem policyjnym, atoli wszystkich z solidarnym obowiązkiem zwrotu szkody”. Tak też orzekł Sąd Kryminalny i zwolnił podsądnych z więzienia.

Kończąc swe sprawozdanie, Piątkowski apelował do prawodawców i sędziów, by badając winę nieletnich przestępców, mieli na uwadze „działalność filantropów, którzy przychodzą w pomoc sprawiedliwości, otwierają zbłąkanym podwoje poprawy i niszczą źródła zła”. Uczynił to niewątpliwie pod wpływem prof. Walentego Miklaszewskiego, który był jego bezpośrednim szefem jako kierownik działu karnego w redakcji. Był też wielkim zwolennikiem odrębnego, bardziej racjonalnego traktowania nieletnich przestępców, mającego na celu przede wszystkim ich poprawę przez naukę zawodu i wdrożenie zasad moralnych. W ten sposób GSW włączyła się w propagowanie działającego już od dwóch lat Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych, pod którego egidą za dalsze trzy lata miał powstać zakład dla nieletnich w Studzieńcu. Piątkowski poświęcił ich idei kilka akapitów w swym tekście, a GSW jeszcze nie jeden artykuł w następnych latach.

Z artykułu Walentego Miklaszewskiego, poświęconego nieletnim przestępcom, a opublikowanego na początku lat siedemdziesiątych w „Przeglądzie Sądowym”, a także tabeli stanowiącej integralną jego część, zdaje się wynikać, że w latach 1865–1870 nie skazano ani jednego nieletniego do lat 14 za rozbój. Żadne więc dziecko w tym wieku i w tym czasie nie zostało skazane za wątpliwy rozbój i wysłane na Syberię w majestacie prawa. Natomiast w przedziale wiekowym 14–21 skazywano w ciągu roku za tę właśnie zbrodnię przeciętnie siedmiu nieletnich⁵.

Od 1847 roku, gdy wprowadzony został Kodeks kar głównych i poprawczych, na podstawie którego skazano chłopców w procesie opisanym przez Piątkowskiego, zagrożone skazaniem na Syberię i pracą w kopalniach było też świętokradztwo. W statystykach odnotowywano je albo wśród przestępstw przeciwko religii w ogóle, albo też, jak w okresie 1865–1870, razem z „pogwałceniem grobów i obdarciem trupów”. W sześcioleciu tym popełniono 181 tego rodzaju czynów; w 4 przypadkach dopuścili się

od paru lat – tym nowatorskim narzędziem walki z zawodowymi złodziejami. W roczniku 1876 (nr 42) znaleźć można wzmiankę w sprawozdaniu sądowym, że tajny agent rozpoznał złodzieja „z fotografii znajdującej się w policji” i obserwując go następnie, złapał na gorącym uczynku podczas wyciągania z torebki 3 rb. służącej, która kupowała bilet w kasie teatru. Albumy fotograficzne przestępców znane były w świecie od 1860 roku. W Londynie wprowadzono je w 1863, w Moskwie w 1867, a w Berlinie w 1878 roku. Podają za A. Solarz, *Rozwój służby informacyjno-rozpoznawczej. Rys historyczny*, „Problemy Kryminalistyki” 1957, nr 9, s. 416.

⁵ W. Miklaszewski, *O małoletnich przestępcach oraz Towarzystwach osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Szkic ogólny*, „Przegląd Sądowy”, t. XVI, s. 38 i n.

ich nieletni do 14 lat, a w 29 – małoletni, którzy przekroczyli tę granicę, ale nie osiągnęli jeszcze 21 lat. Jak można wnosić z publikowanego orzecznictwa sądowego – i ci, i ci, jednakowo, zsyłani bywali na Syberię nawet w przypadkach mniejszej wagi, na przykład kradzieży obrusa bądź lichtarzy z przydrożnej kaplicy.

„Gazeta Sądowa Warszawska” omawiała niekiedy procesy sądowe, na których tle rodziły się wątpliwości prawne. Dostarczył ich przypadek z sierpnia 1873 roku, gdy niejaki Karol B. obrabował 3 skarbonki w kieleckiej kolegiacie. Ów „czeladnik krawiecki [tak w złodziejskim slangu określano pomocnika złodzieja kieszonkowego, o czym sprawozdawca sądowy oczywiście nie wiedział, biorąc ów zawód za dobrą monetę – S. M.] podejrzanej konduity, karany już za kradzieże”, ukrył się za ławkami, a w nocy gwoździem otworzył kłódki skarbon. Dozorca kościelny wypatrzył go za dekoracją i znalazł przy nim kilka rubli drobną monetą.

Prokurator żądał 4 lat robót fabrycznych i dożywotniego pobytu na Syberii. Sąd rozważał prawne wątpliwości: czy pieniądze stanowiły już własność kościoła, skoro nie wpisano ich do parafialnych ksiąg, i czy nastąpiła obraza świętości, skoro na skarbonach nie było krzyży. Ostatecznie przyjęto, że kradzież nastąpiła z obrazą świętości, bo miała miejsce w kościele; zesłano więc oskarżonego na Syberię. Karol B. nie apelował, zadowolony widocznie, że uniknął ciężkich robót⁶.

Również za podpalenie umyślne groziły ciężkie roboty i dożywotnie zesłanie, a tę zbrodnię popełniło w tym okresie 21 małoletnich poniżej 14. roku życia⁷, oni więc też trafili „na białe niedźwiedzie”, jak się popularnie mówiło o zsyłce. Podpalenie umyślne traktowane było jako jedna z najcięższych zbrodni, karana najsrożej od czasu, gdy sejm wydał w 1825 roku specjalne prawo o podpalaczach, zaostřejące kary przewidziane za tę zbrodnię przez Kodeks karzący z 1818 roku. Kodeks kar głównych i poprawczych z 1847 roku też przewidywał za nią kary główne⁸, nie wyłączałac nieletnich. A że nie było to tylko kodeksowe zagrożenie, świadczy proces, który ta sama GSW opisała parę lat później⁹.

Tę „Kronikę kryminalną”, podobnie jak poprzednią, dotyczącą procesu o świętokradstwo, nadesłał – jak powiedzielibyśmy dzisiaj żurnalistycznym żargonem – „korespondent terenowy” także z Kielc. Był to albo adwokat, albo też jakiś pracownik tamtejszego sądu. Znał bowiem wszelkie szczegóły bardzo długo wlokącego się śledztwa, a także wypunktował jego zawirowania i mankamenty.

Rzecz dotyczyła całej serii umyślnych podpaień, które wydarzyły się na ziemi kieleckiej w pamiętnym dla jej mieszkańców 1874 roku. „Łuny pożarów – pisał nieco patetycznie autor – dniem i nocą oświecały pochód niezbadanej, ciągłej zbrodni, pobudki której do dziś dnia pozostały w sferze nierozwiązanych zagadek”. Nie ulegało dla niego wątpliwości, chociaż z jakichś względów nie napisał tego wprost, że chociaż złapano i osądzono sprawcę tych podpaień, przynajmniej części z nich, był to niewątpliwie przysłowiowy kozioł ofiarny.

Pierwszy pożar wybuchł w samych Kielcach 13 lipca 1874 roku z niewyjaśnionej

⁶ S. Milewski, *W świecie występku i zbrodni. Z dziejów przestępczości i jej zwalczania*, Warszawa 1996, s. 106–107.

⁷ W. Miklaszewski, *O małoletnich*.

⁸ Por. *Historia państwa i prawa Polski*, Warszawa 1981, s. 533 i 554.

⁹ St. Możdż., *Kronika kryminalna. Sprawa p-ko 12-letniemu Józefowi Czosnyk, o liczne podpalenia obwinionemu*, GSW 1876, nr 20.

przyczyny. Potem w kilku miejscach dostrzeżono podłożony ogień i miasto opanowała histeryczna panika. „Dla zapobieżenia złemu – czytamy – urządzono straż obywatelską, podzieliwszy poprzednio miasto na cztery rewiry. Czterdziestu obywateli lub ich zastępców oraz czterech starszych w każdym rewirze, nie licząc stróżów nocnych, ani osobnej straży ogniowej, noc w noc czuwało nad miastem. Oprócz tego w każdym niemal domu był ktoś przeznaczony do czuwania, a większe budowle miały po kilku stróżów. Te środki ostrożności tyle skutkowały, że w Kielcach ani razu nie podłożono ognia w nocy, lecz zawsze w porze... dziennej”.

W małych mieścinach nie było lepiej. W Staszowie skutkiem podpalenia zgorzało 176 domów mieszkalnych. Następnej zaraz nocy, a potem za dnia, dwukrotnie podpalano Stopnicę, gdzie spłonęło kilka posesji. Wkrótce potem spalił się niemal cały Pacanów.

W guberni krążyły najbardziej fantastyczne pogłoski na temat przyczyn tych pożarów. A to posądzano towarzystwa ubezpieczeniowe, które miały w tym swój interes, by jak najwięcej ubezpieczało się klientów, a to wysoko ubezpieczonych „złej wiary ludzi”, którzy wychodzili z pogorzeli z całkiem pokaźnymi odszkodowaniami. Podejrzewano nawet, jak to zapisał sprawozdawca, „agitację zagranicznych komunistów”.

Wreszcie znaleziono rzekomego czy też prawdziwego sprawcę – zaraz potem, gdy ktoś usiłował dwukrotnie podpalić wikarówkę w Nowym Korczynie. Tu oddajmy głos sądowemu sprawozdawcy: „W parę dni po ostatnim wypadku strażnik ziemski zatrzymał nieznanego chłopca, lat 12 liczącego. Sprowadzony do kancelarii gminnej, chłopiec ów, nie posiadający żadnych dowodów legitymacyjnych, podał się z nazwiska za niejakiego Józefa Stępka, sierotę, chodzącego po żebraniu. Podrażnione naówczas umysły ogółu ludności, a tym samym i początkowych pseudoinkwirentów dzieciaka, zaczęły w nim upatrywać osobistość podejrzaną, tym więcej, że chłopak zatrzymany okazywał dużo sprytu, a to, co o sobie mówił, było widocznym kłamstwem przez niego samego wymyślonym. Jakoż powstał na niego, obecny przy tym komitet śledczy, zarzucając chłopca pytaniami czy nie on usiłował dwukrotnie dokonać podpalenia w Nowym Korczynie oraz czy nie on był sprawcą poprzednich pożarów, o których ze słyszenia wiadano. Chłopak natenczas przyznał, że się nazywa Józef Czosnyk, że pochodzi z Tarnowa w Galicji Austriackiej, że przywiozła go pewna pani do Pińczowa, że u niej pozostawał przez parę tygodni, że w końcu wysyłała go ona do podpalania, aby podczas zamieszania dokonywał kradzieży”.

„Lotem błyskawicy – czytamy dalej – rozeszła się po całej guberni, a nawet po całym kraju, wieść o zatrzymaniu Czosnyka. Nienaturalnym było epidemiczne zjawisko pogorzeli, niezwykłą też musiała być jego przyczyna. Tę niezwykłość dostrzeżono już w samej osobie 12-letniego Czosnyka. Wieść o jego ujęciu podawano sobie z ust do ust i zaraz gruchnęło mnóstwo wersji na rachunek jakiejś misji małoletniego podpalacza, wersji coraz nieprawdopodobniejszych. Władze policyjne zjechały na miejsce zatrzymania podsądnego, gdzie w parę dni potem śledztwo przez nie wyprowadzonym zostało...”

Darujmy sobie wyliczankę, ile to zrobiono wizji lokalnych, podczas których podejrzanym wskazywał, gdzie podkładał ogień, ile razy zgadzało się to ze stanem rzeczy, a ile razy nie. Gdy po miesiącach śledztwa i wożenia chłopca z Domu Badań na pogorzeliiska stanął wreszcie przed sądem – oświadczył, że podczas tych podróży i pobytu w aresztach policyjnych nasłuchiwał się różnych wersji i potem powtarzał je do protokołu. Pragnął bowiem jak najszybszego zakończenia sprawy, „że co ma się z nim stać, niech się stanie,

niech go gdzie wyślą, albo powrócą rodzicom, że jest bardzo nieszczęśliwy i niewinny, bo jeśli ma prawdę powiedzieć, to nie dokonał żadnego z tych podpałów”.

Sąd Kryminalny w Kielcach, „po rozebraniu szczegółowo każdej z osobna pogorzeli i towarzyszących im okoliczności”, uwolnił Czosnyka z części zarzutów. Uznał jednak za udowodnione cztery przypadki podpałów i „skazał go na pozbawienie wszelkich praw i zesłanie na osiedlenie w mniej odległych miejscach Syberii” z „art. 1107, 1108, 145, 157 i dalszych Kodeksu kar głównych i poprawczych oraz Najwyższego Ukazu z 1864 roku”.

Powróćmy wszakże do pierwszego numeru GSW, inicjującego „Kronikę kryminalną” w tym prawniczym tygodniku, bo prócz procesu wytoczonego małoletnim złodziejaszkom opisana w nim została – mimo że rubryka ta została w tym numerze znacznie ponad miarę rozbudowana – jeszcze jedna sprawa¹⁰.

Ten reportaż sądowy, z prawdziwego już zdarzenia ze względu na treść i formę, wyszedł spod pióra nie byle kogo, ale samego Aleksandra Kraushara, który nim właśnie rozpoczął długoletnią współpracę z GSW. Niedawno skończył trzydziestkę, od dwóch lat przestał być patronem Trybunału Cywilnego (tę nominację dostał w 1868 roku), a mianowano go adwokatem przy Sądzie Apelacyjnym. Za rok miał zostać obrońcą przy Departamencie Rządzącego Senatu, a więc najwyższej instancji, i przysługiwał mu odtąd tytuł mecenasa¹¹; chyba to właśnie jego, jako już ostatniego, spotkał taki honor, bo od reformy sądowej w 1876 roku wszyscy jednakowo stali się adwokatami przysięgłymi.

Członkowie dawnej palestry obrończej – wspominał po latach sam zainteresowany – nie przyjęli źle tej zmiany. „Wielu nawet spośród nich odczuwało ciche zadowolenie wobec prerogatyw, jakie im zapewniała nowa organizacja sądowa. Gradacja (...), która ograniczała działalność adwokacką do instancji właściwych i zmieniała się w miarę zasług i kwalifikacji obrońców, stwierdzanych przez Komisję Sprawiedliwości drogą egzaminów państwowych, ustała z chwilą, gdy organizacja nowa wprowadziła jeden tylko stopień adwokatów przysięgłych, uprawnionych do stawania we wszystkich instancjach sądowych, Senatu petersburskiego nie wyłączając. Inne stopnie adwokatury: pomocników adwokackich i obrońców prywatnych, powstały dopiero później”¹².

Karierę pisarską, głównie jako autor rozpraw historycznych, adwokat Kraushar miał jeszcze przed sobą, podobnie jak większe pieniądze z kancelarii adwokackiej i żoninego posagu. Nawet jeśli w GSW nie płacono początkowo, jak się wydaje, honorariów lub były one niewielkie, chętnie chwycił za pióro jako reportażysta sądowy. Szkoda, że nie kontynuował tego typu pisarstwa, bo po tej jednej próbie widać jak na dłoni, że miał w tym właśnie gatunku literackim nie mniejsze uzdolnienia niż przy pisaniu naukowych monografii.

„Wiadomość o morderstwie na osobach małżonków Gąsowskich spełnionym, jak

¹⁰ Al. K. (A. Kraushar), *Sprawa Piotra i Adriana Wasilewskich, obwinionych o zamordowanie małżonków Gąsowskich*, GSW 1873, nr 1 i 2.

¹¹ J. Maternicki, *Aleksander Kraushar*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. XV, s. 241–244; R. Łyczewek, *Aleksander Kraushar*, „Słownik Biograficzny Adwokatów Polskich”, t. II s. 301–304; S. Milewski, *Palestranci i redaktorzy. Człowiek renesansu*, „Palestra” 1999, nr 5–6.

¹² Alkar (A. Kraushar), *Czasy sądownictwa rosyjskiego w Warszawie (1876–1915). Kartka z pamiętnika starego mecenasa*, Warszawa 1916, s. 13.

również o wykryciu sprawców tej zbrodni – zaczął swe sprawozdanie ów popularny już w stolicy adwokat – podały we właściwym czasie wszystkie pisma tutejsze. Sąd wyrokujący już postanowił o losie obwinionych; nie będzie jednak rzeczą zbyt dużą obeznać czytelników z przebiegiem śledztwa uwiecznzonego tak pomyślnym rezultatem. Śledztwo to bowiem może posłużyć za wskazówkę: jak nieraz drobne, ale dobrze skombinowane szczegóły i okoliczności, *przy chętnym współdziałaniu ogółu* mogą ułatwić pracę sądu i naprowadzić na drogę wysledzenia sprawców przestępstwa”.

Autor już na wstępie, przez wyróżnienie kursywą, pochwalił śledczych i współdziałanie mieszkańców Warszawy z policją, bo jak wynika z późniejszych artykułów zamieszczanych w GSW, rzadko to chodziło w parze, praca organów ścigania zaś z reguły pozostawiała wiele do życzenia. Tym bardziej wydawało się to godne uznania, że zamordowani nie cieszyli się dobrą opinią w mieście, przeciwnie – wręcz złą, nie było więc tego parcia opinii publicznej na policję, jakie bywa w przypadkach zamordowania kogoś znacznego i popularnego.

Józef i Anna, małżonkowie Gąsowscy, przybyli do Warszawy przed trzema laty i zamieszkali przy ulicy Rycerskiej. Szybko stali się zagadką dla mieszkańców nie tylko z sąsiedztwa. Gąsowski był poprzednio strażnikiem celnym pod Kaliszem i na tej posadzie ponoć nieźle się obłowił. Teraz pracował dorywczo w kantorze komisowym oraz w garkuchni żydowskiej na Nalewkach, gdzie za drobnym wynagrodzeniem kontrolował potrawy. Żona – jak pisał Kraushar – zmieniała w Banku Polskim papierowe ruble wyszłe z obiegu, pobierając za każde 25 rubli jednego rubla srebrem, i to przynosiło jej drobne, ale pewne zyski.

Mimo tych dochodów i uzbieranego kapitału żyli nędznie i nędznie się też ubierali w lachmany i zgrzebne koszule uszyte z workowego płótna. Jak inni „werciarze” (tak w tych latach nazywano w Warszawie nędznych lachmaniarzy; od wereta – płótno workowe, S. M.) pożywienie otrzymywali z Towarzystwa Dobroczynności, dokąd udawali się codziennie z garnuszkami; stamtąd też otrzymywali drzewo na opał. W ich mieszkaniu znaleziono oryginały próśb o wsparcie, motywowane skrajną nędzą. Wykorzystywali zaufanie chyba wszystkich miejscowych instytucji filantropijnych, a mimo to Gąsowski wieczorami, stając pod luksusowymi magazynami, wyciągał rękę po jałmużnę. Gnieździli się w klitce pod schodami, z jednym okienkiem, wyposażonej w łóżko, stary kufer, ławkę i stolik.

Gdy Gąsowska nie pokazywała się przez kilka dni w banku, zaniepokojone klientki, które przychodziły wymieniać pieniądze, dały znać na policję. Okazało się, że już od pewnego czasu nikt nigdzie nie widział tej, tak przecież charakterystycznej, pary. Rewirowy wspólnie ze stróżem wyłamali drzwi, za którymi znaleźli ciała Gąsowskich. Wezwano podsejdy, ten zaś ze względu na wagę sprawy, jako że już na pierwszy rzut oka było widać, iż w grę wchodzi morderstwo, sprowadził na miejsce zbrodni prezesa Sądu Kryminalnego, który z kolei „nakazawszy rozwinięcie czynności sądowo-lekarskiej, wezwał asesora Sądu Poprawczego do rozpoczęcia śledztwa”. Jak z tego wynika, procedura w przypadku podejrzenia zabójstwa była dość skomplikowana...

Aż korci, by w owym urzędniku, mającym wszcząć śledztwo, dopatrywać się Wiktora Mauersbergera, który w tym właśnie czasie sprawował funkcję asesora Sądu Poprawczego. Wkrótce miał zostać podprokuratorem Sądu Kryminalnego, po rusyfikacji zaś sądownictwa w Królestwie mianowano go sędzią śledczym rewiru VII m. Warszawy;

jako Polak nie miał już możliwości dalszego awansu¹³. Dużo publikował, także w GSW w późniejszych latach, był też śledczym wyjątkowo uzdolnionym, o czym może świadczyć sukces w sprawie Gąsowskich. Mimo że tropy były różne, szybko wpadł na właściwy. Być może właśnie temu błyskotliwemu sukcesowi zawdzięczał swój awans na podprokuratora jeszcze przed trzydziestką.

Gąsowskich znaleziono uduszonych biczami, które – jak się później okazało – sprawcy w przeddzień zakupili na targowisku. Okazało się też później, że zanim w ten sposób zadali im śmierć, najpierw próbowali wywabić ich z mieszkania, by następnie okraść z posiadanych walorów. Jeszcze przedtem usiłowali pozbawić ich życia pączkami, które nafaszerowali trucizną przed złożeniem im wizyty.

Ze szpargałów, które wałały się po mieszkaniu, wynikało, że tuż przed śmiercią Gąsowscy wykupili listy zastawne na łączną sumę 13 500 rubli, po których w izdebce nie było śladu. Bezwzględnie do wszystkich kantorów weksli wysłano wykazy z numerami tych listów, dane te przekazane też zostały do wszystkich guberni i do konsulów zagranicznych. Przesłuchano wszystkich sąsiadów, a że w ich gronie znajdował się lokaj „bez służby i sposobu do życia, człowiek młody, o którym mówiono, że po całych dniach w domu nie bywa i zajęcia nie ma” – zatrzymano go w areszcie policyjnym do dalszych wyjaśnień. Zatrzymano też stróżkę, „której drzwi mieszkania o półtora kroku odległe były od lokalu Gąsowskich, a która jako kobieta młoda i lubiąca się upijać, mająca na domiar tego kochanka, budziła też podejrzenie ze względu na niejednostajne zeznania pod względem ostatniego widzenia Gąsowskich”.

Policja dostała też sygnały o dziwnym zachowaniu się mężczyzny, który usiłował wykupić w jednym z kantorów listy zastawne, ale się potem z tego wycofał w podejrzanych okolicznościach. Inny pod fałszywym nazwiskiem wykupił listy za 150 rubli. Ustalono dokładny rysopis pierwszego z nich, który się potem potwierdził przy konfrontacji. Idąc po nitce do kłębka, policja ustaliła wreszcie sprawców, a prowadzący przesłuchania asesor wnikliwymi pytaniami doprowadził do tego, że przyznali się do zbrodni.

Jednym z nich okazał się krewniak Gąsowskiej Piotr Wasilewski, młody człowiek, który próbował najpierw poświęcić się karierze duchownej, ale ostatecznie wybrał weterynarię. Wspólnikiem okazał się Adrian, również Wasilewski, ale w żaden sposób z nim niespokrewniony; los zresztą zetknął ich zupełnie przypadkowo. Adrian powrócił niedawno z Syberii, gdzie go zesłano do służby wojskowej, pewnie za udział w powstaniu. Obaj cierpieli na brak gotówki i nie widzieli żadnych możliwości, by ją zdobyć w uczciwy sposób. Adrian był ponoć pomysłodawcą zbrodni, gdy dowiedział się, że jego kolega ma w Warszawie rodzinę dziwaków skąpców, którzy śpią na pieniądzech, a udają biedaków.

„Znajdował on – mówił obrońca Piotra przed sądem, podkreślając dominujący wpływ kolegi na swego klienta – że kapitały Gąsowskich leżą nieprodukcyjnie, a my, jako młodzi, mając choćby część tych pieniędzy, moglibyśmy korzystniej je spożytkować. Adrian założyłby sklep, ożeniłby się, ja zaś zachowałbym część pieniędzy na swoją potrzebę, a resztę oddałbym siostrze, biednej matce siedmiorga dzieci”.

Obrońca ów, a był nim Lucjan Wrotnowski, który prawo studiował w Paryżu, robił, co mógł, by wynaleźć jakieś okoliczności łagodzące winę Piotra. A to że ów stracił wiarę, bo czytał dzieła Darwina i Comte’a. „Ubolewać zatem przychodzi – grzmiał przed

¹³ W. Sobociński, *Mauersberger Wiktor*, „Polski Słownik Biograficzny”, t. XIX, s. 258–260.

sądem – że od niejakiego czasu te pisma pełne trucizny są na nasz język przekładane i w tanich wydaniach rozpowszechniane”. „Jakkolwiek o tak ważnej i ciekawej kwestii, przez obrońcę poruszonej, wiele by się za i przeciw przytoczyć dało, ze względu jednak na charakter sprawozdawczy kroniki sądowej powstrzymamy się od osobistych uwag” – skomentował Kraushar ów ryzykowny *passus* mowy obrończej.

Pozostawił bez komentarza też inny wątek podniesiony przez Wrotnowskiego. „Skreśliwszy w kilku zręcznych i dobitnych zarysach charakterystykę podsądnego i wykazawszy zgubne następstwa kierunku jego wychowania – czytamy w sprawozdaniu – zatrzymał się obrońca nad jednym szczegółem, na który, zdaniem jego, śledztwo nie zwróciło zupełnie uwagi, mianowicie: że Piotr Wasilewski cierpiał przez czas długi na pewną wstrętą chorobę, i że choroba ta mogła oddziaływać na funkcje mózgowo podsądnego. Przypuszczenie to oparte było na cytatach z dzieł francuskich lekarzy, wykazujących, że choroby tego rodzaju, atakując system nerwowy, odejmują choremu władzę panowania nad sobą”. W tej chorobie dopatrywał się też przyczyny dominacji Adriana.

Prokurator – a był nim autor omówionego już tu na wstępie, pierwszego sprawozdania w GSW, Wiktor Piątkowski – odpowiedział na to, że podsądny „okazał się w śledztwie logicznym i duchowo zdrowym”. Zażądał dla obu za „krewnobójstwo” kary pozbawienia wszelkich praw i zesłania do robót w kopalniach na czas nieograniczony. Sąd Kryminalny orzekł taką karę w stosunku do Piotra Wasilewskiego. Jeśli zaś chodzi o Adriana, to sąd przychylił się do linii obrony patrona Skupiewskiego, że w jego przypadku nie wchodziło w grę „krewnobójstwo”, ale „zabójstwo proste”, dodając do tego: „przy zbiegu okoliczności obciążających”, i skazał go na 16 lat ciężkich robót w kopalniach syberyjskich.

Kronikę kryminalną GSW zapoczątkowało podwójne zabójstwo, zabójstwa też zdają się dominować w pierwszych rocznikach tygodnika. Widocznie one wydawały się najbardziej sensacyjne, zdolne przyciągnąć uwagę czytelników, bo pismo miało ambicje wychodzić też poza kręgi środowiskowe. Dopiero w późniejszych latach, gdy z wielu stron rozlegać się zaczęły krytyczne głosy, że gazety demoralizują czytelników, pokazując im złe wzorce i ciemne strony życia w pogoni za taną sensacją, prawniczy organ zaczął powoli odchodzić od procesów kryminalnych na rzecz cywilnych oraz takich, w których pojawiały się interesujące problemy prawne.

Z tych pierwszych roczników wynika, że w tym czasie zabójstwa popełniane były głównie na tle porachunków rodzinnych. Dość łatwo więc ustalano sprawców, gdyż na ogół znajdowały się osoby, które bywały świadkami pogroźek i kłótni. Na ogół sprawdzała się też zasada znana jeszcze Rzymianom: *is fecit, cui prodest* – ten uczynił, kto miał w tym interes.

Redaktor „Kroniki kryminalnej” nie ograniczał się do procesów, które toczyły się przed sądami Królestwa Polskiego. Często omawiano procesy z Cesarstwa lub też z zagranicy, np. z Anglii, częściej była to Galicja. Stamtąd nadsyłał przede wszystkim swe korespondencje adwokat i uniwersytecki pracownik w jednej osobie – Józef Rosenblatt.

On to właśnie był autorem sprawozdania z procesu, który toczył się przed trybunałem przysięgłych w Krakowie w 1876 roku, a dotyczył niebanalnego zabójstwa za pomocą środka wybuchowego – dualiny¹⁴.

¹⁴ GSW 1876, nr 8 i 9.

Zbrodni dokonano w nocy z 12 na 13 sierpnia 1875 roku na Błażeju Plewniak, gospodarzu z Rajska. Zdetonowano mu podczas snu ładunek wybuchowy umieszczony pod pachą. Plewniak nocował wtedy w stodole, bo pokłócił się z żoną. Jest to pierwszy wypadek użycia środka wybuchowego do zgładzenia człowieka, tym ciekawszy, że wyprzedził ową *cause celebre* Tomsona z Bremenhaven – czytamy w doniesieniu z Galicji adwokata Rosenblatta, powołującego się na kazus głośny w całej Europie, w którym też użyto środka wybuchowego do zgładzenia człowieka.

„Dawno już – ekscytował się sprawozdawca sądowy – nie odgrywał się przed kratkami sądu tak smutny dramat familijny, jak ten, który tyle ciekawej publiczności do Sali rozpraw ściągnął. Żona nastaje na życie własnego męża, matka jej kieruje całym dziełem, a brat je wykonywa, i to w sposób tak okropny, u nas dotąd nieznanym i niepraktykowanym, bo używa do zgładzenia człowieka środka eksplodującego: dualiny”.

Sprawozdawca wyjaśnił przy okazji, że „dualina, tworząca się skutkiem nasiąknięcia trocin nitrogliceryną, jest to proszek żółtawy, mający tę samą własność i tę samą gwałtowność co nitrogliceryna sama, jest ona gwałtowniejsza od dynamitu, a dziesięć razy silniejsza od prochu. Patron dualinowy opatrzony jest kapsłą Mahla, do patrona wetkniętą, i lontem gutaperkowym, z kapsłą w połączeniu będącym; jeśli ten ostatni zapalonym zostanie, to po upływie kilkunastu sekund do pół minuty rozsadzona zostaje kapsła, a skutkiem wybuchu tego dopiero sama dualina w patronie będąca. Dualina najsilniej wywiera swe działanie tam, gdzie opór znajduje, druzgocząc wszystko, co napotyka, nie zapalając jednak przedmiotów w pobliżu napotkanych”.

W tym wypadku ów środek wybuchowy nie zadziałał tak silnie, bo nie napotkał oporu. Komisja sądowa, która przybyła zaraz po zbrodni z pobliskiego Oświęcimia, tak napisała w swym sprawozdaniu: „Na lewym boku, na wierzchu, widać było mocno poszarpany kaftan, kamizelkę i koszulę, a przez otwór szerokości dwóch dłoni widać było ciało z raną, szerokości jednej dłoni męskiej, poszarpaną, obnażoną ze skóry i mięśni, a dochodzącą do samych żeber; pod pachą zaś dość znaczne miejsce czarne, jakby okopcone ze spalonego knota, skóra naokoło rany jakby przypieczona”.

Z kolei sekcja zwłok wykazała, że „Błażej Plewniak umarł z krwotoku wewnętrznego, wywołanego pęknięciem serca i innymi jeszcze obrażeniami”. Biegli orzekli stanowczo, że śmierć nastąpiła „skutkiem działania na niego ciała wybuchającego gwałtownie, najprawdopodobniej dualiny wsuniętej mu podczas snu pod pachę i zapalonej przez osobę trzecią”. Ową „osobą trzecią”, jak dość szybko ustaliło śledztwo, okazał się szwagier Plewniaka – Franciszek Bucki, gospodarz z Rajska. Jego zresztą od pierwszej chwili obwiniała wieść gminna o tę zbrodnię. Razem z nim pociągnięto do odpowiedzialności jego matkę, Katarzynę Bucką, która go namówiła „do wysadzenia zięcia w powietrze”. Pogryźł ją własny mąż, którego też ponoć pragnęła się pozbyć. W śledztwie zeznał, a przed sądem to powtórzył, że słyszał, jak kilka dni przed zbrodnią żona mówiła przy córce: „Poczekaj góralu głuchy (tak przezywano Błażeja Plewniaka), ty długo nie będziesz po świecie chodził, już ja cię oblekę w białą koszulkę”. Zeznania przeciwko niej złożył też najmłodszy syn – Marcin. Wyznał, że matka, „dając mu patron dynamitowy, kilkakrotnie namawiała, by takowy Błażejowi Plewniakowi pod pachę wsunął i zapalił”. Wcześniej żądała od niego, by to samo zrobił ojcu.

Franciszka Buckiego obciążał fakt, że to właśnie u niego podczas rewizji wykryto schowane w stoliku naboje dualinowe. Znalaziono też 37 takich nabołów zakopanych

w stodole; część wystrzelano na wiwat podczas wesela, które parę dni wcześniej odbywało się we wsi. Właśnie podczas niego rodzina pokłóciła się z zięciem; nawet go trochę poturbowano.

W procesie, który toczył się 10 dni przed trybunałem przysięgłych, stanęło 40 świadków, 2 lekarzy i 2 biegłych inżynierów wojskowych. Franciszka Buckiego skazano na śmierć przez powieszenie, a jego matkę na 18 lat ciężkiego więzienia „obostrzonego jednym postem w tygodniu i jedną ciemnicą w każdą rocznicę zbrodni”. Mariannę z Buckich Plewniakową trybunał skazał na 3 lata ciężkiego więzienia z tymi samymi obostrzeniami „za zbrodnię dania pomocy przez nieprzeszkodzenie”.

Nie był to bynajmniej jedyny kazus z tego okresu, gdy teściowa, niezadowolona ze swego zięcia, zapragnęła w sposób radykalny pozbyć się go z tego świata. Rok wcześniej ta sama GSW pisała o zbrodni, która wczesnym popołudniem 4 października 1871 roku wydarzyła się we dworze w Niedarczowie Górnym koło Łży, w guberni radomskiej¹⁵.

Dwa strzały, które rozległy się wówczas, postawiły na nogi całe domostwo. Służba, wbiegłszy do kancelarii, zastała właściciela dóbr Adolfa Plewińskiego ledwie żywego; był cały zbroczony krwią. Wezwano lekarza; stwierdził on, że jedna kula spowodowała ranę powierzchwnią nad czołem, a druga – wewnętrzną w okolicy prawego oka.

Na miejsce tego krwawego zdarzenia zjechał natychmiast Sąd Policji Prostej z Radomia, stało się to bowiem przed reformą sądową, która dopiero za kilka lat miała zmienić śledczą procedurę. Całkowicie jeszcze przytomny dziedzic wyjaśnił, że uciął sobie poobiednią drzemkę na kanapie w kancelarii i zbudzony został gwałtownie dwoma strzałami. Gdy zerwał się na nogi, poczuł gorąco na twarzy i na głowie, a z ust ciekła mu krew; płynęła ona też z nosa i czoła. Upadł na kanapę i zanim zemdlął, poczuł jeszcze dwa uderzenia czymś twardym. Był w pełni przekonany, zeznawał słabym głosem, że sprawczynią zarówno strzałów, jak i uderzeń, była jego teściowa, Paulina Kurmanowicz. Widział bowiem jakby przez mgłę uciekającą z pokoju postać kobiety w czarnej sukni w liliowe kwiaty, a taki właśnie strój miała ona na sobie tego dnia.

Władze sądowe przesłuchały też inne osoby. Mamka, Eleonora Baran, też obciążała Kurmanowiczową. Cały dzień, mówiła, była ona spokojna, ale zaraz po obiedzie udała się do pokoju jadalnego, skąd wyszła, trzymając jakiś przedmiot w ręku. Zaraz po strzałach przybiegła z powrotem i wysłała mamkę do kancelarii, by tam sprawdziła: czy pan panią nie zastrzelił? Gdy mamka zobaczyła, co się stało, podniosła krzyk, ale „starsza pani” kazała jej być cicho. Z kolei rządca oświadczył, że ujrzawszy wieczorem Kurmanowiczową ubraną w czarną chustę, wymykającą się ukradkiem z dworu, przeszkodził jej w ucieczce.

Tymczasem stan rannego ciągle się pogarszał. Mimo że ściągnięto z Warszawy aż dwóch lekarzy, wybitnych specjalistów – trzynastego dnia po postrzeleniu Plewiński zakończył życie. Obdukcja dokonana przez miejscowego lekarza, a później przez Wydział Lekarski przy Rządzie Gubernialnym Radomskim, wykazała, że „rany należały do bezwarunkowo śmiertelnych” i „były zadane obcą ręką”; w grę nie wchodziło więc samobójstwo.

Podjejrzenia padły natychmiast na przebywającą czasowo u córki teściową denata. Przeciw niej przemawiało zarówno zachowanie się tuż po zbrodni, jak i wrogi stosunek

¹⁵ GSW 1875, nr 40 i 41.

do zięcia. Zajęto się więc bliżej jej osobą. Okazało się, że rodzice wydali ją już w 16. roku życia za bogatego sąsiada, starszego od niej drugie tyle i zupełnie jej obojętnego. Rozpuścił ją on zupełnie, folgując wszelkim zachciankom i kaprysom, pozostawiając jej nieograniczoną swobodę działania. Nie pozwalał tylko wtrącać się w swoje interesy finansowe, co było przyczyną częstych dąsów i kłótni. Dopiero przed śmiercią przekazał żonie zarząd majątkiem. Wtedy to właśnie poznała ojca i syna Plewińskich, których uważała za ludzi majątnych. Nie stawiała więc przeszkód, gdy jej córka Maria zakochała się w Adolfie i zapragnęła go poślubić. Znacznie później okazało się, że zięć i jego ojciec są zadłużeni, a na spłacenie ich wierzytelności nie wystarczył nawet kilkunastotysięczny posag. Musiała dorzucić jeszcze 4,5 tys. rubli pożyczki, ale i to nie wystarczyło. Zaczęła wówczas żywić do zięcia nienawiść i usiłowała go rozwieść z córką; podstawiła jej nawet kandydatów do romansu i przyszłego zamążpójścia. Próbowwała nawet zlicytować zięcia, a gdy jej się to nie udało – wynajęła ponoć podejrzanego medyka, by ów uczynił go „nieszkodliwym dla społeczeństwa”. Kilka razy przyjeżdżała do Plewińskich i udawała życzliwość. Zięć jej jednak nie dowierzał; „kładąc się spać, jedne drzwi na klucz zamykał, a drugie od strony sali zastawiał różnymi przedmiotami”, co ustalono w śledztwie.

Kurmanowiczowa początkowo zaprzeczała i twierdziła, że to nie ona strzelała do zięcia. Sugerowała, że postrzelił się sam, bo miał poważne kłopoty. Przyparta do muru, przyznała wreszcie, że „uczyniła to w chwili nieprzytomności umysłu”. Cierpi bowiem na histerię, która doprowadziła ją do takiego stanu. Żadną nienawiścią do zięcia nie pałała, więc zupełnie nie wie, co ją nagle naszło.

Histeria była w tym czasie niezwykle modną chorobą psychiczną, oddano więc Kurmanowiczową na obserwację lekarską. Na jej podstawie, oraz biorąc pod uwagę dane uzyskane w śledztwie, Wydział Lekarski Rządu Gubernialnego w Radomiu wydał opinię, „iż całym postępowaniem Kurmanowiczowej w danym razie kierowała stale błędna idea (*idea fixe*) konieczności pozbycia się Plewińskiego, która ją następnie do zbrodni zabójstwa popchnęła”. W konkluzji napisano, że jej czyn „według wszelkiego prawdopodobieństwa, jako spełniony pod wpływem chorobliwego jej stanu umysłowego, znoszącego wolną wolę, znanego pod nazwą monomanii zabójstwa (*monomania homicidaria*) ocenionym być winien”.

Sąd Kryminalny ani myślał brać pod uwagę tak daleko idącej opinii medyków i uznał winę oskarżonej. Skazana została na zesłanie do ciężkich robót w zakładach fabrycznych przez 19 lat i osiedlenie na zawsze na Syberii oraz na pozbawienie wszystkich praw na podstawie ustawy o szlachectwie z 1836 roku i art. 33 Ustawy Senackiej.

Sąd Apelacyjny, do którego sprawa trafiła, uznał, że opinie biegłych z Urzędu Lekarskiego – „jako władzy zbiorowej w tej sprawie przez 10 osób udzielonej” – nie należy mieć za prawny dowód i należy je zweryfikować na drodze przewidzianej przez ustawy. Odwołał się więc do Departamentu Medycznego MSW w Petersburgu, ten zaś nakazał dłuższą obserwację w zakładzie specjalnym.

Lekarze Szpitala Dzieciątka Jezus – pod prezydencją wybitnego specjalisty doktora Adolfa Rotheho, autora licznych prac i podręcznika o chorobach umysłowych w zastosowaniu do sądownictwa – uznali jednak, że Kurmanowiczowa „znajduje się w pełni władz umysłowych”. Normalna też była w chwili popełnienia morderstwa. Wydając wyrok, Sąd Apelacyjny pominął tylko „okoliczności bliskiego powinowactwa względem ofiary zabójstwa” i obniżył o rok – do 18 – zesłanie do ciężkich robót.